

Temat tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Sąd Najwyższy w matni

16

Polityka

- 16 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Jak prezes PiS wpływa na swoich ludzi
- 19 Grzegorz Rzeczkowski
Płk Jan Zarosa – prokurator do zadań specjalnych
- 22 Były szef sztabu generalnego gen. **Mieczysław Gocuł** alarmuje, że system obronny Polski jest w rozszypce

Społeczeństwo

- 26 Violetta Krasnowska
Gra oświadczeniami majątkowymi
- 29 Agnieszka Sowa
Dylemat: ciąża w chorobie terminalnej
- 32 Joanna Cieśla
Czy matura ma sens
- 34 Ryszarda Socha
Wojna o Westerplatte

Rynek

- 36 Joanna Solska
Za mało chętnych do obsługi turystów
- 40 Rafał Woś
TWOJE MIASTO, TWÓJ WYBÓR
Miejski transport za darmo?

Świat

- 42 Łukasz Wójcik USA-ROSJA
Co Trump zaoferuje Putinowi
- 45 Marek Ostrowski FRANCJA
Akcja prywatyzacja
- 48 Rozmowa z libijskim pisarzem **Hishamem Matarem** o teraźniejszości Libii – najtrudniejszym momencie w historii kraju

Historia

- 50 Katarzyna Rembacka
Kościuszkowcy – popękana armia



Ofiary Gwiazdy Śmierci



22

Polskie siły rozbrojone



26

Kogo obejmie lustracja majątkowa?



42

Teatr dwóch aktorów

- 53 Jolanta Zarembina
100 pytań na 100 lat niepodległości
– o naszym najnowszym „Pomocniku Historycznym”

Nauka

- 56 Edwin Bendyk
Jak człowiek szkodzi swojej planecie
- 60 Paweł Walewski
Pseudoterapia witaminą C
- 62 Agnieszka Krzemińska
Jak odczytać spalony rękopis

Kultura

- 68 Tomasz Plata
Tęsknota za blokowiskiem
- 72 Aneta Kyzioł
Aktorów kłopoty z pamięcią
- 75 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
- 76 O przepisie na współczesną książkę dla dzieci mówi **Barbara Gawryluk**, tłumaczka szwedzkiej serii o przygodach Lassego i Mai
- 78 Baryton **Mariusz Kwiecień** o pomysłach na drugą połowę artystycznego życia, doborze ról i śpiewanym w Londynie „Don Giovannim”

Ludzie i style

- 80 Michał Zaczyński
Alexander McQueen – koszmary wizjonera mody
- 84 Marcin Piątek
VAR – trzecie oko sędziego

Na własne oczy

- 92 Piotr Murdza
Dzień wołającego na puszczy (karpackiej)

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 64 Afisz • 87 Passent
- 88 Hartman • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy
- 98 Polityka i obyczaje



mleczko

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polska na miarę swoich oczekiwań

Omawiając wkład Polski w rozwój Europy, premier Morawiecki przypomniał w Strasburgu, że to „my postawiliśmy tamę niemieckiemu barbarzyństwu podczas drugiej wojny światowej jako pierwsi i uratowaliśmy w ten sposób kontynent od jeszcze większego ludobójstwa”. Jednocześnie ostrzegł, że jesteśmy dumnym krajem i dał do zrozumienia, że jak będzie się nas pouczać i bez przerwy coś nam zarzucać, to po raz drugi kontynentu nie uratujemy i w przyszłości Europa będzie sobie musiała z niemieckim barbarzyństwem radzić sama. Ośrodki wrogie Polsce lansują tezę, że Polska nikogo w 1939 r. nie uratowała, tylko po prostu została najechana, ale jest to teza tendencyjna i wynika z antypolonizmu szalejącego w tych ośrodkach. Oczywiście naukowcy mogą się spierać, czy w 1939 r. Polska przegrała i została najechana, czy jednak wygrała i uratowała kontynent, ale ostateczną opinię w tej sprawie i tak wyda IPN. Morawiecki w Strasburgu nie krył, że obecnie Europa znajduje się w kryzysie, bo nie rozumie, że musi wsłuchiwać się w to, czego oczekują społeczeństwa. Polska, która to rozumie, jest dzisiaj niekwestionowanym liderem tego wsłuchiwania się, dlatego większość oczekiwań społeczeństwa już spełniła i obecnie przeszła do spełniania oczekiwań, których społeczeństwo



jeszcze nie wyraziło. Udało się już np. spełnić oczekiwania dotyczące zreformowania Trybunału Konstytucyjnego i postawienia na jego czele prezes Julii Przyłębskiej, których społeczeństwo nie wysunęło wcześniej tylko dlatego, że nie miało zielonego pojęcia, że ktoś taki jak Przyłębska może istnieć i w dodatku zostać prezesem czegośkolwiek. Gdy okazało się, że może, a obóz władzy zorientował się, że jest w społeczeństwie niewyrażone, aczkolwiek niecierpliwe oczekiwanie, żeby na prezesa TK powołać kogoś takiego jak Przyłębską, nie tylko niezwłocznie to oczekiwanie zaspokoili, ale nawet dodał do Przyłębskiej w charakterze bonusu sędziego Muszyńskiego.

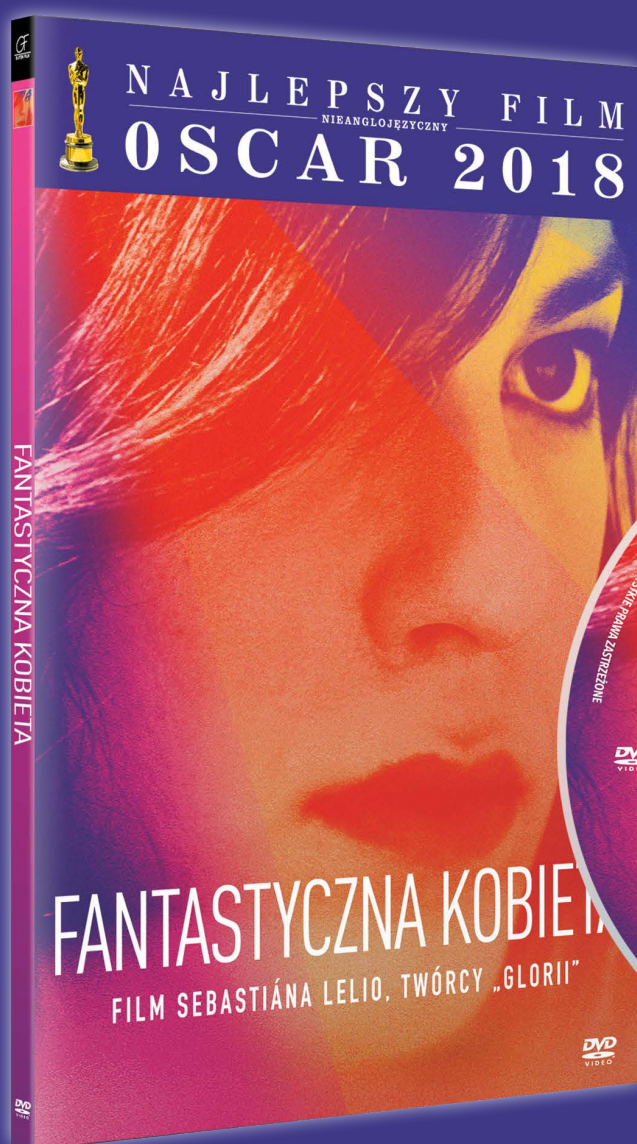
Tym, którzy zarzucają rządzonej przez PiS Polsce, że nie przedstawia żadnej klarownej wizji przyszłości UE, Morawiecki dał odpór stwierdzeniem, że zależy mu na zrealizowaniu wizji gen. de Gaulle'a. Chociaż tu moim zdaniem trochę się zagalopował, bo nie rozumiem, dlaczego tak dumny kraj jak Polska ma realizować wizję kreślone ręką obcego nam wizjonera, skoro ma u siebie własnych wizjonerów. Myślę tu chociażby o charyzmatycznym Morawieckim i jego wizji rechrystianizacji Europy przez Polskę; wizji, która na tle cienkich i mętnych zwińdów de Gaulle'a jest tak odjechana, że zastanawiam się, po czym on tę wizję miał.

FANTASTYCZNA KOBIETA

OSCAR 2018® za najlepszy
film nieanglojęzyczny



*Academy Award™ and "Oscar" are the registered trademarks and service marks of the Academy of Motion Picture Arts and Sciences.



Intymny portret
bezkompromisowej kobiety,
która całe życie walczy
o prawo do bycia sobą.



W sprzedaży z tygodnikiem **POLITYKA**

PiS i VAR



Jerzy Baczynski

S tosunkowo niewielki zasięg ulicznych protestów w obro- nie wolnych sądów nie da się wytłumaczyć wakacjami, bo w ubiegłym roku pamiętne wielkie demonstracje też odbywały się w lipcu. Jedno z wyjaśnień jest takie, że w ogóle Sąd Najwyższy to dla obywatela instytucja odległa, teore- tyczna, z którą na ogół nikt nie ma bezpośrednio do czynienia, więc i o emocje trudno. Wielu mądrych prawników próbuje więc „na cito” tłumaczyć, dlaczego ten „sąd prawa” jest dla wymiaru sprawiedli- wości absolutnie kluczowy.

Ponieważ ostatnio żyjemy w atmosferze mundialowej, proponu- ję, żeby do klasycznych opisów dodawać też porównanie piłkarskie, że SN to taki VAR (czyli spopularyzowany na mundialu system kon- troli sędziowania, piszemy o nim na s. 84). Sędzia, nawet najbardziej niezależny, uczciwy i kompetentny, może się pomylić w ocenie faktów czy ich interpretacji i wtedy, na szczęście, wkracza VAR – pił- karski sąd ostateczny. Łatwo sobie wyobrazić, co by było, gdyby jedna z drużyn przejęła kontrolę nad systemem. Najkrócej: byłoby po zawodach. Ale może rzeczywiście SN słabo nadaje się do wywo- ływania masowych reakcji, a i sama Pani Prezes Gersdorf mobilizacji nie ułatwia, co właśnie potwierdziła swoją decyzją o pójściu na urlop. Więc pewna zdawkowość obecnych protestów może wynikać za- równo z charakteru samego konfliktu, jak też – co chyba ważniejsze – z rozczarowania pozornym sukcesem ubiegłorocznego zrywu.

Ó wczesne weta Andrzeja Dudy ożywiły nadzieje, że rewolucja opisowska jednak zatrzyma się na schodach Pałacu Sprawiedli- wości. Dziś już wiemy, że nic z tych rzeczy: wtargnęła do środka. Andrzej Duda po paru tygodniach hamletyzowania ostatecznie przyklepał partyjny zamach na instytucje sądownicze. Zamach, który ma się dopełnić teraz, poprzez dymisję sędziów Sądu Najwyższego, bezprawne odwołanie Pierwszej Prezes SN i wprowadzenie do składu Sądu osób z politycznego nadania.

Jarosław Kaczyński właśnie zapowiedział, że te zmiany tak czy owak, bez względu na formy i skalę protestów, zostaną przeprowadzone. Faktycznie (i tu ma rację niezbyt dziś poważnie traktowany Lech Wałęsa), bez stutysięcznego, raczej agresywnego, tłumy – bardziej zresztą na Nowogrodzkiej niż przed gmachem sądów – Jarosław Kaczyński się nie cofnie. Prezes mówi zresztą wyraźnie: „Jeśli nie zreformujemy sądownictwa, inne reformy mają mały sens. To jest albo-albo”. Pomijając dobrze nam znaną odwrotną logikę PiS, gdzie „reformowanie” oznacza przejęcie kontroli, czystki osobowe, chaos i dezorganizację instytucji, Kaczyński jest tu szczery. Niezależny system SN-VAR robi się bowiem naprawdę niebezpieczny wtedy, gdy chce się grać faul, symulować krzywdę, łamać przyjęte reguły współzawodnictwa i pozostać bezkarnym. Tworzony dziś w Polsce ustrój polityczny, jeśli ma przetrwać, musi być szczelny, to znaczy, nie może być żadnej instytucji państwa zdolnej skutecznie podważyć „wołę polityczną”. Tu nawet nie chodzi o to, żeby każda decyzja Jarosława Kaczyńskiego (Sędziego Ostatecznego?) miała być nietykalna, nie – chodzi o te kilka zasadniczych. Co by to mogło być?

Sąd Najwyższy nie ma żadnych kompetencji ani interesów, aby spodważać jakiegokolwiek „reformy PiS”, jest jedynie strażnikiem procedur i prawa. Ale to oznacza, że wobec praktycznego paraliżu Trybunału Konstytucyjnego mógłby np. wejść w jego rolę, wska- zując na niekonstytucyjność jakichś przepisów uchwalanych przez rządzącą większość. Sąd Najwyższy mógłby też utrudnić dokonanie odwetu na Tusku i innych osobach poprzedniej ekipy, obwinianych przez Jarosława Kaczyńskiego o przyczynienie się do śmierci brata. W normalnym europejskim systemie sądowniczym żadne „procesy smoleńskie”, wywodzone z paranoicznej koncepcji zamachu, nie mogłyby zakończyć się skutecznym skazaniem. Podobnie jak ewen- tualne procesy wytaczane legalnej opozycji, którą właśnie Kaczyń- ski oskarżył (znów ta odwrotna logika) o „bezcelne łamanie wszel- kich reguł prawa”. Na razie nie ma jeszcze sądu, który by to orzekł; być może dyspozycyjny sędzia już by się znalazł (o moralnej giętko- ści w czasach PiS piszą Mariusz Janicki i Wiesław Władyka na s. 16), jednak żaden politycznie sztyty wyrok nie ostałby się dziś w ostat- niej instancji, czyli przed niezależnym SN.

Zmieniony SN (z nową Izbą Dyscyplinarną) byłby też konieczny dla wydalenia z zawodu niepokornych sędziów, adwokatów czy pro- kuratorów. To ważne dla przyszłego bezpieczeństwa kadr PiS. Nagi- nanie prawa i wykorzystywanie na niewyobrażalną skalę publicznych pieniędzy dla dobra partii i jej działaczy (prezes PiS znowu wezwał do umiaru) kiedyś mogłoby zostać rozliczone. Dlatego trzeba mącić przepisy, orzecznictwo, wprowadzać uległych sędziów, legalizować każde obecne i przyszłe działanie władzy (Ewa Siedlecka nazywa tę sytuację „prawnym kąpielnią” – s. 12). Wreszcie sprawa ogłaszania legalności (lub nie) wyborów. Widać po wprowadzanych przez PiS zmianach w ordynacji do europarlamentu, że także przed wyborami parlamentarnymi PiS będzie próbował zmieniać reguły gry. A bez SN-VAR sam orzeknie, że grał czysto i wygrał zdecydowanie.

J eśli SN nie został jeszcze spacyfikowany, to wskutek godnego najwyższego szacunku oporu samego środowiska sędziowskiego w Polsce i w ogóle środowisk prawniczych, ale przede wszystkim groźby interwencji ze strony instytucji Unii Europejskiej. Dziś widać wyraźnie, gdzie byśmy byli, gdyby nie członkostwo w UE. Władza raz przejęta mogłaby zrobić z nami wszystko, bo państwo ma w rękę wszelkie instrumenty przemocy. Na szczęście „są jeszcze sądy w Europie” (jak Trybunał Sprawiedliwości UE), jest europejska opinia publiczna, z którą premier Morawiecki właśnie boleśnie zderzył się w Parlamencie Europejskim, są poważne instrumenty nacisku (fi- nansowe, polityczne, personalne). Jeśli PiS chce, żeby system, który buduje, zatrasnął się nad naszymi głowami, musi faktycznie wy- prowadzić Polskę z UE. Większości Polaków – na co zapewne stawia PiS – może nie obchodzić niezależność sądów, wolność mediów, prawa opozycji i w ogóle nic, ale dwóch typów publicznej reakcji PiS ewidentnie się boi: wstępu „za PiS”, także wobec Europy, oraz obu- rzenia na pazerność pisowskich kadr. Na obu frontach chyba nie jest dobrze, skoro prezes rekonwalescent osobiście musiał zabrać głos.

Jan Koza



© JAN KOZA



Strasburskie klechdy

W stosunku do Cezarego „Trotyla” Gmyza mam dług wdzięczności. Dzięki niemu znalazłam się w najlepszym towarzystwie pani profesor Małgorzaty Gersdorf.

Dlaczego akurat za pomocą Gmyza? – pytają Państwo ze zdziwieniem. A dlatego, że Ryszard Czarnecki raczył określić mnie, już jakiś czas temu, mianem szmalcownika. Teraz z kolei zabłysnął Cezary Gmyz i ćwierknął o pani profesor, że jest „szlampą”. Każdy, kto chociaż trochę mówi po niemiecku, a zapewne do takich należy opłacany z naszych podatków korespondent TVP w Berlinie, wie, co to słowo oznacza. O sobie napisał tylko, że „cofa mu się miesiączka”. Biedny. Jakaś przykra dolegliwość, która rzuca się na głowę? Dla tych, którzy nie wiedzą, o czym mówię, cytuję z obrzydzeniem: „Sorry, ale jak słyszę, że taka szlampa, jak I prezes SN robi za wzór cnót, to mi się miesiączka cofa”.

Gabriele Lesser, warszawska korespondentka kilku pism niemieckiego obszaru językowego, przysłała mi esemesa: „Gersdorf już od dawna jest symbolem oporu. Znaną na całym świecie. A kim jest jakiś Cezary Gmyz? Polakiem z zaburzeniami menstruacyjnymi”. Ale Gmyz, poza tym, że zaklasyfikował nas do jednej kategorii Polek chamsko obrażanych przez osoby publiczne ze środowiska partii rządzącej (co jest dla mnie, Szanowna Pani Profesor, niemałym zaszczytem), to dodatkowo przez łagodną konsekwencję ohydnych czynu zwrócił moją uwagę na coś innego.

Polska Telewizja Publiczna, która w misji ma napisane, że powinna „kierować się odpowiedzialnością za słowo i dbać o dobre imię publicznej radiofonii i telewizji, respektować chrześcijański system wartości, za podstawę przyjmując uniwersalne zasady etyki”, łaskawie udzieliła nagany. Nie wyrzuciła go z pracy na zbity pysk, nie kazała mu wygłaszać przeprosin, schować się do mysiej dziury. Nic podobnego – nagana. Rzeczywiście Jacek Kurski wysilił się i po raz kolejny stanął na wysokości zadania.

Tu w oczy rzuca się charakterystyczna różnica: Ryszardem Czarneckim, kiedy wygłosił swoje zdanie na mój temat, natychmiast zajęli się szefowie grup politycznych w Parlamencie Europejskim. Na ich wniosek przewodniczący PE w ekspresowym tempie otworzył ścieżkę, która bardzo szybko doprowadziła do odebrania Czarneckiemu stanowiska wiceprzewodniczącego. Głosowanie na sali plenarnej dało jasny sygnał: przekroczona została czerwona linia, przekroczone zostały wszelkie granice debaty politycznej, na chamstwo nie ma naszej zgody.

Wszystko odbyło się ze starannym zachowaniem procedur i regulaminu. Mimo to Ryszard Czarnecki bezwstydnie odwołuje się dziś do Trybunału Sprawiedliwości UE, a w Polsce obdarowywany jest gęsto atrakcyjnymi funkcjami, jak wiceprezura Polskiego Związku Piłki Siatkowej czy też członkostwo w prezydium PKOl. Bo w Polsce nie ma dziś czerwonej linii. Osoby publiczne, jeżeli tylko są w PiS, mogą bezkarnie wygłaszać wszelkie świństwa, kłamstwa i pomówienia. Jak widać na przykładzie Czarneckiego, to co jest nieakceptowalne na poziomie europejskim, w Polsce jest nagradzane.

Tak się przyzwyczailiśmy do ryszardkowego języka, zalewu kłamstw i propagandy, że zaczynamy na to obojętnieć. Stało się to w ostatnich trzech latach częścią naszej codzienności i już ledwo zauważamy, że czerwona linia przekraczana jest notorycznie. Inaczej jest za zachodnią granicą. Zdumienie, jakie wywołał premier Mateusz Morawiecki swoim wystąpieniem w Parlamencie Europejskim, jest trudne do opisu. Wiadomo, że w centrum zainteresowania jest łamanie niezawisłości sądownictwa w Polsce, a w dodatku premier występował przed Parlamentem Europejskim w dniu, w którym zaczęła obowiązywać niekonstytucyjna ustawa przerywająca kadencję prezes SN oraz wysyłająca na przymusowe emerytury wielu sędziów Sądu Najwyższego.

Premier Morawiecki, po wstępnych uwagach odnoszących się do rzekomego głębokiego kryzysu Unii, obwieścił wszem i wobec, że rządzi krajem, którego społeczeństwo to zgraja złodziei i bandytów, wyłudaczy VAT, zorganizowanych układów przestępczych i mafii, totalnie niesprawnego wymiaru sprawiedliwości, sądów, w których do dziś zasiadają ci, którzy skazywali w stanie wojennym jego „towarzyszy broni” na drakońskie kary. Na doatek do niedawna wśród dzieci i młodzieży w Polsce panowała skrajna nędza. Dopiero rząd PiS od 2,5 lat to wszystko migiem uzdrowia.

Morawiecki bardzo starał się różnić od Szydło: gładki i grzeczny, bez wrzasku i krogulczego palucha, ale... ewidentnie „nie zażarło”. Posłowie reagowali z widoczną irytacją: stracił pan okazję, żeby to wszystko wyjaśnić, dzwony kościelne zagłuszają panu głos kobiet, proszę nam zwrócić demokratyczną Polskę, nie ma wolności bez praworządności, gratulacje dla odważnej profesor Gersdorf, wierzymy, że jeszcze Polska nie zginęła! W dodatku wypowiedź europo-

sla Legutki, pełna agresji i obrażania kolegów oraz instytucji unijnych, ostatecznie popsuła szyki premiera, bo przecież miało być miło, a tu wyszła prawdziwa obrzydliwa twarz PiS i wywołała kilkuminutową wściekłą wypowiedź przewodniczącą Tajanigo, zwykle bardzo dobrze trzymającego nerwy na wodzy. Czy premier Polski jest takim zimnym cynikiem, czy też po prostu nic nie rozumie? – zastanawiało się wielu po debacie.

Polscy pracownicy Parlamentu Europejskiego otrzymali oficjalne uroczyste zaproszenia na spotkanie z premierem Morawieckim. Część z nich, w większości dziewczyny, nałożyła koszulki z nadrukiem KONSTYTUCJA, po czym około 150 młodych osób udało się do wyznaczonej, pięknej przestrzeni z flagami Unii i czerwonym dywanem. Po jakimś czasie zjawiła się pracownica delegacji premiera z zapytaniem, czy nie dałoby się zdjąć tych koszulek. Ależ absolutnie nie – otrzymała odpowiedź. I zapraszający się nie zjawił. Ciekawe, czy Morawiecki bardziej boi się dziewczyn czy polskiej konstytucji? – krąży po korytarzach PE pytanie, na które nikt nie ma dobrej odpowiedzi.



© STANISŁAW TYM

Akta sporu

W europejskim internecie znowu zrobiło się gorąco. Emocje wzbudził projekt dyrektywy o prawie autorskim. Przeciwnicy okrzyknęli nowe regulacje zamachem na wolność internetu i końcem cyfrowego świata, jaki znamy.

Edwin Bendyk



Parlament Europejski wynikiem głosowania 5 lipca ten koniec świata zawiesił. Komisja Prawna JURI europarlamentu nie otrzymała mandatu negocjacyjnego umożliwiającego dalszą pracę nad przedstawioną przez Komisję propozycją. Za mandatem głosowało 279 posłów, przeciwko – 318. Co znamienne, głosowanie połączyło ponad podziałami polskich europosłów, z których żaden nie poparł dyrektywy. Podobnie solidarnie głosowali jeszcze tylko Szwedzi, z kolei większość deputowanych francuskich i niemieckich broniła projektu.

Prace nad nową dyrektywą trwają od 2016 r. Ma ona dostosować ochronę praw autorskich w Europie do rozwoju jednolitego cyfrowego rynku i, szerzej, do współczesnej rzeczywistości. Obowiązująca w tej chwili dyrektywa „w sprawie harmonizacji niektórych aspektów praw autorskich i pokrewnych w społeczeństwie informacyjnym” powstała w 2001 r. Google miał wówczas dopiero trzy lata, serwisy Facebook i YouTube jeszcze nie istniały, Apple szykował się do wyjścia z roli pogrążonego w kryzysie producenta komputerów, a Amazon był tylko wielką księgarnią internetową. Dziś te cztery korporacje znane pod akronimem GAFA mają łączną kapitalizację giełdową przekraczającą 3 bln dol. (dochód narodowy Niemiec to 3,5 bln dol.) i rządzą globalnym rynkiem dystrybucji cyfrowych dóbr i treści. W nieco dalszej konstelacji rozbłyskują nowe gwiazdy, np. Netflix szturmem zdobywający rynek produkcji i dystrybucji filmu w internecie.

Dla pokolenia dorastającego wraz z GAFA Facebook jest synonimem internetu, podobnie jak Google synonimem wyszukiwarki. To właśnie te platformy są najważniejszymi bramkami do świata cyfrowych treści produkowanych zarówno przez internautów amatorów, jak i profesjonalnych twórców oraz producentów. Nagrodą za tę dominującą pozycję jest rosnący udział we wpływach z reklamy. Google i Facebook w 2017 r. kontrolowały aż 61 proc. reklam online i 25 proc. globalnego rynku reklamy (w 2012 r., gdy wybuchły protesty internautów przeciwko porozumieniu ACTA, udział ten wynosił zaledwie 9 proc.).

W ciągu niespełna dwóch dekad powstał nowy świat, który zaczął wymykać się spod kontroli władzy publicznej, a lista problemów szybko puchnie: ochrona praw autorskich w świecie, w którym kopiowanie i dystrybucja treści kosztuje jedynie kliknięcie myszką; ochrona prywatności i danych osobowych, gdy są one głównym surowcem elektronicznego marketingu;

fake news, dezinformacja i militaryzacja cyfrowej komunikacji, czyli wykorzystanie cyfrowych platform do uzyskiwania wpływu politycznego, jak to się stało podczas kampanii w sprawie brexitu i wyborów prezydenckich w USA.

Spektakularną próbą podporządkowania alternatywnej cyfrowej rzeczywistości światu realnemu zarządzanemu przez demokratycznie wybranych polityków okazało się Forum Przyszłości Internetu zwołane przez prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego w 2011 r. w Paryżu. Szefowie największych korporacji internetowych, także liderzy takich inicjatyw, jak Wikipedia, przyjęli zaproszenie, by powiedzieć dobitnie politykom: nie wtrącajcie się do świata, którego nie rozumiecie. Kilka miesięcy później, najpierw w USA podczas

prac w Kongresie nad ustawami SOPA i PIPA mającymi zwiększyć antypiracką ochronę w internecie, następnie w lutym 2012 r., gdy wybuchły protesty przeciwko porozumieniu ACTA, okazało się, że hasło „wolnego internetu” jest w stanie zmobilizować masy gotowe wyjść w obronę tej wolności na ulice. Politycy przestraszyli się gniewu cyfrowego ludu, porozumienie ACTA – warto przypomnieć, że Polska odegrała w tym procesie główną rolę – trafiło do kosza.

Ten historyczny kontekst wrócił podczas dyskusji o dyrektywie o prawie autorskim. Jej przeciwnicy organizują się pod hashtagami #stopACTA2 i #SaveTheInternet. Obrońcy nowych regulacji także odgrzewają stare argumenty, nazywając oponentów otwartymi, pożytecznymi idiotami amerykańskich

korporacji, piratami pragnącymi darmowego dostępu do treści wyprodukowanych przez innych. Zwłaszcza dni między 20 czerwca br., kiedy Komisja JURI przyjęła tekst projektu dyrektywy, a głosowaniem w Strasburgu 5 lipca upłynęły na gorącej kampanii wszystkich zainteresowanych. Kampanii coraz bardziej spolaryzowanej, w której demagogia i emocje zaczęły brać górę nad rozsądną dyskusją.

W przeciwieństwie do ducha 2011 i 2012 r. dziś nikt już, poza najbardziej zagorzałymi libertarianami, nie kwestionuje konieczności regulacji internetu. Wystarczyło kilka zaledwie lat, by historia rozliczyła najbardziej romantyczne utopie cyfrowego świata. Wszechpotężny Facebook, dom dla ponad 2 mld użytkowników, okazał się bezbronny zarówno wobec trolli spod znaku rosyjskich służb specjalnych, jak i nieograniczonej żądzy władzy i zysku swoich właścicieli. Profesjonalnych mediów nie zastąpiły rzesze internautów samoorganizujących się w modelu dziennikarstwa



© PAUL LOOMEN/GETTY IMAGES

obywatelskiego. Okazało się, że nawet do tego, by przetworzyć rewelacje WikiLeaks potrzebni są zawodowcy spod znaku „Guardiana” lub „New York Timesa”.

Nowy cyfrowy świat nie zastąpił starego, analogowego, tylko nadszedł czas ich konwergencji i wypracowania sposobu współistnienia YouTube i youtuberów z producentami filmowymi, Facebooka i Google z instytucjami medialnymi. A podstawową zasadą tej konwergencji musi być uznanie faktu, że profesjonalne instytucje medialne i producenckie oraz zawodowi twórcy muszą mieć dochody, by tworzyć. W świecie przeorany przez cyfrową rewolucję struktura tych dochodów uległa także rewolucyjnym zmianom. Jeszcze dekadę temu wielu wydawcom i producentom wydawało się, że wystarczy tych zmian nie dostrzegać, by zachować status quo.

Dziś wszyscy poszukują nowych modeli biznesowych. Wikipedia polega na społecznej pracy wikipedystów i datkach użytkowników, coraz częściej jednak jej liderzy zastanawiają się, czy jest fair, kiedy np. moderatorzy Facebooka lub Google korzystają z zasobów encyklopedii w swojej pracy, nie poczuwając się do obowiązku minimalnej choćby rekompensaty? I podobnie wydawcy prasy (na ogół także obecni i aktywni w internecie) chcieliby mieć pewność, że zarówno środki wydawane na przygotowanie treści, jak i inwestycje w nowe technologie będą chronione przez regulacje niedopuszczające do pasywnego, czy wręcz paserskiego, zarabiania przez cwaniaków szermujących hasłem „information wants to be free” (informacja chce być wolna).

Cwaniactwo cyfrowych pośredników to jeden problem, innym jest skłonność użytkowników do płacenia za treści. Z badania przeprowadzonego w maju przez firmę Danae dla Press Club Polska wynika, że wśród użytkowników portali internetowych regularnie za treść płaci 11 proc. badanych, a wśród użytkowników serwisów społecznościowych zaledwie 7 proc. Deklaracje są bardziej optymistyczne – gotowość do płacenia za treści zgłasza jedna piąta badanych.

Dyrektywa „Prawo autorskie na jednolitym rynku cyfrowym” ma na celu stworzenie ram regulacyjnych nad niezwykle złożoną przestrzenią wzajemnych relacji uczestników obrotu medialnego

w taki sposób, by twórcy i właściciele praw autorskich nie tracili, a jednocześnie, by nie zniszczyć istoty internetu, jaką jest swoboda komunikacji z wykorzystaniem kreatywnych form wyrazu, jak choćby memy, które stały się ważną częścią debaty politycznej.

Dlaczego więc europarlament nie dał mandatu negocjacyjnego Komisji JURI? Czy raczej ma Bogusław Chrabota, prezes Izby Wydawców Prasy (oświadczenie Izby drukujemy poniżej), który skomentował, że eurodeputowani dali się złapać na propagandę otwartystów straszących ACTA 2 i podatkiem od linków? Michał Boni odrzuca takie oskarżenia, przekonując, że wynik głosowania mógł wyglądać zupełnie inaczej, gdyby Alex Voss, sprawozdawca JURI, nie przeszarżował, i to podwójnie. Po pierwsze, JURI nie włączyła do głosowanego tekstu poprawek ustalonych m.in. z LIBE, czyli Komisją Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych. Dotyczyły one najbardziej kontrowersyjnego artykułu 13, zobowiązującego serwisy internetowe udostępniające treści publikowane m.in. przez internautów do gwarantowania legalności tych treści.

Krytycy dyrektywy obawiają się, że taki przepis narzuca konieczność monitorowania publikowanych materiałów, co możliwe jest jedynie przez zastosowanie rozwiązań automatycznych. W efekcie otwiera się droga do cenzury prewencyjnej, na dodatek bardzo niedoskonałej – automaty stosowane obecnie przez serwisy, takie jak Facebook i Google, są ciągle wadliwe.

Voss, prezentując w europarlamencie projekt JURI, używał wojowniczego, antyamerykańskiego języka, podkreślając, że nowa dyrektywa ma ochronić europejskich twórców przed eksploatacją przez Facebooka i Google i położyć kres ekspansji dzikiego cyfrowego kapitalizmu rodem ze Stanów Zjednoczonych. Voss nie zaraził jednak swą retoryką uczestników sesji w Strasburgu, wywołał natomiast ripostę eurodeputowanej Catherine Stihler, która wytknęła mu to samo co Michał Boni: nieuwzględnienie w propozycji dyrektywy ustaleń uzgodnionych z innymi komisjami.

Strasburskie głosowanie nie zamyka tematu – dyskusja o ochronie prawa autorskiego w Unii Europejskiej wróci na początku września, podczas kolejnej sesji parlamentu. Może wówczas dyskusja będzie mniej emocjonalna, a bardziej merytoryczna.



Dyrektywa o jednolitym rynku cyfrowym to ratunek dla niezależnego dziennikarstwa

Istnienie niezależnej, zróżnicowanej i wiarygodnej prasy wymaga stabilności działania jej wydawców. Bez tego wydawcy prasy – drukowanej i cyfrowej – nie zapewnią rzetelnego przekazu, pozwalającego odróżnić fałsz od prawdy.

Obecnie treści prasowe są bezprawnie kopiowane i udostępniane na stronach internetowych wielu podmiotów. Wydawcy i dziennikarze nie otrzymują należnych rekompensat, a większość wpływów z reklamy w sieci wędruje do światowych gigantów technologicznych, zwiększających swą atrakcyjność dzięki wykorzystaniu cudzych treści.

Wydawcy nie zabiegają o przywileje, ale o równe traktowanie: prawo pokrewne, z którego od lat korzystają producenci filmowi, muzycy, audiowizualni, producenci gier i programów komputerowych, bazujące na zasadzie: jeśli zarabiasz na cudzej twórczości, to podziel się zyskiem. Właśnie takie rozwiązanie, którego beneficjentami będą zarówno wydawcy, jak i dziennikarze, proponuje Komisja Prawna Parlamentu Europejskiego.

Wbrew rozpowszechnianym ostatnio dezinformacjom, prawo to NIE ZAGRAŻA WOLNOŚCI INTERNAUTÓW:

- **nie ograniczy linkowania** (hasło „podatek od linków” to FAŁSZ!)
- **zachowuje wszystkie dotychczasowe wyjątki na rzecz prywatnego użytku, odnoszące się do:**
 - cytatów,
 - ilustracji,
 - tworzenia memów,
 - przewodzenia badań naukowych,
 - kopiowania i dzielenia się treściami w kręgu osobistym itp.
- **nie dotyczy platform edukacyjnych, usług w chmurze, platform open source, encyklopedii (np. Wikipedii) itp.** Jedynie od największych, zarabiających na udostępnianiu treści, wymaga, by stosowali się do prawa autorskiego.
- **nie nakłada na internet żadnej cenzury**

Dyrektywa ma naprawić znaczące dysproporcje między wynagrodzeniem twórców a zyskiem komercyjnych platform internetowych, udostępniających różnego rodzaju utwory. Dzięki stosownym licencjom twórcy otrzymają godziwe wynagrodzenie, a internauci nadal będą mogli dzielić się utworami i przysyłać posty bez czyjkolwiek cenzury i ograniczeń.

Rozwiązanie to jest korzystne przede wszystkim dla małych i średnich, także lokalnych wydawców, których nie stać na prowadzenie długotrwałych i kosztownych procesów sądowych w obronie swych praw.

Jednolity rynek cyfrowy powinien przynosić korzyści wszystkim twórcom (w tym dziennikarzom) oraz konsumentom (w tym czytelnikom). Nie tylko kilku dominującym na rynku gigantom internetowym.

Na wprowadzeniu dyrektywy skorzystają wszyscy, także portale i wyszukiwarki, w których czytelnik znajdzie wartościowe treści.

Apelujemy zatem do Parlamentu Europejskiego, do polskich przedstawicieli w Parlamencie, naszego rządu – o wsparcie proponowanych rozwiązań prawnych, zapewniających wreszcie dziennikarzom i wydawcom godziwe traktowanie i powstrzymujących degradację prasy.

**Wydawcy Prasy
zrzeszeni w Izbie Wydawców Prasy**

NATO się boi?

Dzisiaj NATO bardziej niż Rosji boi się prezydenta USA.

Taki jest przynajmniej wydźwięk zapowiedzi szczytu Sojuszu 11 i 12 lipca w Brukseli. Ostatnie spotkania Donalda Trumpa z zachodnimi sojusznikami – vide G7 w Kanadzie – też nie wypadły najlepiej. A właśnie w sprawie NATO Amerykanin był dotychczas najbardziej krytyczny. Chodzi mu przede wszystkim o zbyt niski poziom wydatków militarnych u sojuszników – i to będzie główny temat najbliższego spotkania. Członkowie NATO zobowiązali się, że do 2024 r. zwiększą je do poziomu co najmniej 2 proc. PKB – dziś niewielu osiąga ten poziom. Europejczycy w Brukseli będą jednak przekonywać, że wydatki wydatkom nierówne. Bo co z tego, że Grecja przeznacza na ten cel 2,6 proc. PKB, skoro ma największe w Sojuszu koszty osobowe. Eksperci ostrzegają jednak, że Trump może zaproponować układ „gotówka za bezpieczeństwo”, gdzie sojusznicy będą płacić za obecność wojsk USA (Polska już to zaproponowała), albo nawet postawić warunek, że jeśli Europa nie obniży ceł na amerykańskie towary, to amerykańscy żołnierze z niej wyjadą.

Ale Trump to nie wszystko. Sojusz chce zwiększyć gotowość do działań, stąd pomysł Czterech Trzydziestek. Plan jest taki, że NATO do 2020 r. będzie miało 30 batalionów, 30 lotniczych eskadr i 30 okrętów gotowych do akcji w czasie krótszym niż 30 dni. Drugi cel wojskowy to mająca od lat reforma systemu dowództwa. Według dyskutowanej na szczycie propozycji miałyby powstać dwa nowe dowództwa. Pierwsze, w niemieckim Ulm – od logistyki w Europie. Drugie – w Norfolk, w stanie Wirginia – od przerzucania wojsk amerykańskich przez Atlantyk. Oby tylko było jeszcze kogo przerzucać.



Oddalanie emerytur

Na pamiątkę z mundialu pozostanie Rosjanom podwyższony wiek emerytalny. Zamierzenie to ogłoszono, kiedy w euforii wygrywali 5:0 z Arabią Saudyjską. W mundialowych miastach zakazano manifestacji, za to odbyły się w blisko 60 innych. I ponad 2,5 mln osób podpisało protest w internecie. Fakt, wieku przechodzenia na emeryturę – skromnego: 55 lat dla kobiet i 60 dla mężczyzn – nie ruszano od 1932 r., od wczesnego Stalina. Po upadku ZSRR tylko Rosja i Uzbekistan go nie podwyższyły. Władimir Putin kilka razy zarzekał się, że za jego prezydentury nie zostanie zmniejszony. Teraz, po wyborach, ogłoszono, że będzie stopniowo podwyższany do – odpowiednio – 63 i 65 lat.

Argumenty są oczywiste: subydiowanie emerytur pochłania dziś 2,5 proc. PKB, a będzie coraz więcej. W 2035 r., gdyby zostało po staremu,

każdy z 42,5 mln pracowników miałby na utrzymaniu swojego emeryta, a później byłoby jeszcze gorzej. Kontrargumenty też są dobrze znane: w rozwarstwionej Rosji (skromna) emerytura to rzecz święta i często podstawowe źródło utrzymania wielu rodzin. Dziś średnia życia rosyjskich mężczyzn to 66 lat – czyli nową emeryturą cieszyliby się statystycznie przez rok (za to kobiety – przez 14 lat). 40 proc. pracowników, według Konfederacji Pracy Rosji (KTR), emerytury w ogóle by nie doczekało. Nic dziwnego, że notowania prezydenta spadły do poziomu poniżej 50 proc., najniższego od 5 lat.

Prezydencki rzecznik Dmitrij Pieskow szybko ogłosił, że to projekt rządowy i że Putin „nie brał udziału w pracach”. Niewykluczone, że gdyby pomundialowy kryzys miał się pogłębiać, przywódca zagra rolę dobrego cara i nieco złagodził wyrok na emerytów. Ale całkowitej amnestii raczej nie będzie.



Baobaby w tarapatkach

Zespół naukowców z RPA, Rumunii i USA przez ponad dekadę przyglądał się kilkudziesięciu najstarszym znanym nauce afrykańskim baobabom. Chcieli sprawdzić, co czyni je tak żywotnymi, dlaczego nie zabijają ich ani pożary, ani np. ogołocenie z kory, zabójcze dla wielu innych roślin. Tajemnica tkwić ma m.in. w możliwościach systemów korzeniowych. Tymczasem w toku badań większość sędziwych okazów zamarła, całkowicie lub w części. Chodzi o jedne z najdłużej żyjących organizmów, badaniem objęte były rośliny, które wykiełkowały nawet 2,5 tys. lat temu.

Biolodzy na winną typują postępującą zmianę klimatu. Może i Afryka w porównaniu z innymi kontynentami produkuje minimalne ilości gazów cieplarnianych, wpływających na przyspieszenie zmian klimatycznych, ale to ona przyjmuje ciężar uderzenia. Np. baobaby nie potrafią poradzić sobie z przedłużającymi się okresami suszy.

Wcałej Afryce Subsaharyjskiej, od Madagaskaru po Togo, także te młodsze nie wytrzymują starcia z rozszerzaniem zasięgu pól uprawnych, często wspieranych systemami irygacyjnymi, wysysającymi wodę z okolicy. No i brakuje dużych zwierząt, które rozsiewają ich nasiona. W wielu społecznościach te „drzewa życia” uważane są za święte. Wykorzystuje się je jako źródło pokarmu i lekarstw, a także tradycyjnie miejsc lokalnych zebrani. Naukowcy nie wykluczają, że niektóre z dziesięciu gatunków baobabów nie przeżyją kolejnego stulecia.

Ministerialne modły

Rozbrat Irlandczyków z Kościołem jest coraz mocniejszy.

W sierpniu papież Franciszek ma wziąć udział w odbywającym się w tym roku w Dublinie Światowym Spotkaniu Rodzin. Tymczasem sytuacja w irlandzkim Kościele jest napięta po zwycięstwie zwolenników praw kobiet w majowym referendum aborcyjnym. Przykład: wymiana zdań między prymasem Irlandii abp. Diarmudem Martinem a ministrem kultury w rządzie Leo Varadkara **Josephą Madigan**, działaczką kobiecą. Minister poprowadziła w swym kościele parafialnym modły, bo ksiądz, który miał odprawić mszę, się nie pojawił. Pani minister nie wygłosiła kazania, nie rozdawała komunii. Ale w obieg poszedł *fake news*, że odprawiła mszę i zażądała ordynacji kobiet. Skrytykował ją także prymas Martin, lecz złagodził stanowisko, gdy poznał fakty.



© EAST NEWS

Kryzys Kościoła w Irlandii powoduje, że podnoszą się głosy za radykalną zmianą jego doktryny. Chodzi o kaptaństwo kobiet, stosunek do homoseksualizmu i aborcji. Premier Varadkar, homoseksualista, i była prezydent Irlandii Mary McAleese uważają, że w nadchodzącym Spotkaniu Rodzin powinny też wziąć udział rodziny homoseksualne. Varadkar toleruje klauzulę sumienia, ale uważa, że szpitale katolickie nie mogą odmawiać legalnej aborcji. McAleese skrytykowała papieża Franciszka za ucięcie w Kościele dyskusji o wyświęcaniu kobiet (ordynację akceptuje irlandzki Kościół anglikański). Prymas Martin nie ma złudzeń: w Irlandii drogi Kościoła i młodzieży się rozchodzą. Według sondażu z ub. roku prawie połowa pytanych w grupie 14–25 lat odrzuca prawdy zawarte w credo, tylko 15 proc. wierzy w życie wieczne, 45 proc. całkowicie nie zgadza się z kościelną nauką o seksie, a aż 79 proc. uważa, że można być dobrym chrześcijaninem poza Kościołem instytucjonalnym.

Francja zdejmuję nogę z gazu

Uwaga, od 1 lipca Francja na 900 tys. km swoich dróg dwukierunkowych ograniczyła prędkość z 90 do 80 km na godz.! Taka reforma, od lat proponowana przez CNSR, wpływową Krajową Radę do spraw Bezpieczeństwa Drogowego, przez kolejne rządy uznawana była za ogólnie słuszną, ale nieakceptowalną. Czyli przynoszącą nieproporcjonalnie wielkie straty sondażowe. Premier Edouard Philippe, jak sam to określił, „podjął ryzyko niepopularności, aby ratować ludzkie życie”. A konkretnie, jak wyliczyła CNSR, 350 do 400 osób rocznie, do uratowania przez takie zmniejszenie prędkości, które w praktyce o 13 m skraca drogę hamowania. Pionierskie są tu badania Jana-Erica Nilssona ze Szwedzkiego Instytutu Drogownictwa, europejskiego guru zmniejszania prędkości. A akurat takie drogi, nierozdzielone pośrodku pasem ochronnym, należą we Francji do najbardziej niebezpiecznych i morderczych.

Jak należało się spodziewać, nie pomogła duża kampania społeczna: 74 proc. Francuzów, w sondażu BVA, jest przeciwna nowemu ograniczeniu. Ich argumenty dobrze oddaje stowarzyszenie pod nazwą „40 mln kierowców”, reprezentujące nastroje ludu za kierownicą. Uważa ono, że to nowy rodzaj podatku drogowego i łupienia kierowców (mandat za skromne przekroczenie prędkości zaczyna się od 68 euro), a zwyczajowo po takich drogach i tak jeździ się na co dzień z prędkością w okolicach setki, i nic tego nie zmieni. Doktryna Nilssona, przekonuje stowarzyszenie, nigdy nie została udowodniona, a ograniczenia prędkości nie powinny być stosowane ogólnie i generalnie, ale bardziej wybiórczo. Nie wydaje się, aby ten spór był do rozstrzygnięcia.



© GETTY IMAGES

Balast z broszek

Najpoważniejszy skandal finansowy w 60-letniej historii Malezji będzie miał swój finał. Przed sądem w Kuala Lumpur staje były premier **Nadżib Razak**. Prokuratorzy stawiają mu zarzuty nadużycia władzy i sprzeniewierzenia środków państwowego funduszu inwestycyjnego 1MDB. Razak upada, bo w maju przegrał wybory parlamentarne, choć stał na czele partii, która rządziła nieprzerwanie od sześciu dekad. Stracił wpływy, nie może już wyrzucać ministrów wytykających mu korupcję ani próbować cenzurować ciekawskie media. Odsunął go jego dawny mistrz, dobrze zapamiętany też był wieloletni premier 92-letni Mohamad Mahathir, dziś najstarszy szef rządu na świecie.



© GETTY IMAGES

Oskarżony Razak, zamiast prowadzić przedsięwzięcia sprzyjające rozwojowi gospodarki, miał wydawać pieniądze niezgodnie z przeznaczeniem, przelewając je na swoje konta i wspierać krewnych. Amerykański Departament Sprawiedliwości szacuje straty funduszu na ponad 4 mld dol. Tymczasem malezyjska policja po kilku tygodniach katalogowania podała, że w mieszkaniu byłego premiera, którego oficjalne miesięczne uposażenie wynosi 5,5 tys. dol., znalazła gotówkę i przedmioty luksusowe warte – uwaga! – w sumie 273 mln dol. (ok. 1 mld zł). Chodzi głównie o elementy garderoby żony Razaka, np. 12 tys. sztuk biżuterii (w tym 1,6 tys. broszek), 567 torebek, 423 zegarki i 234 pary okularów przeciwsłonecznych.



Lewe prawo

EWA SIEDLECKA

Obywatelski nacisk zadziałał: Komisja Europejska podjęła procedurę zmierzającą do zaskarżenia ustawy o Sądzie Najwyższym do Trybunału Sprawiedliwości (choć nie wstrzyma to już „wycinki” sędziów SN). Sędziowie Sądu Najwyższego stawili opór bezprawnemu pozbawieniu urzędu Pierwszej Prezes SN. O obronie Sądu Najwyższego doniosły media w całej Europie, a czwartego lipca „New York Times” zrobił z nich czołówkę ilustrowaną zdjęciem demonstracji pod Sądem Najwyższym.

Sędziowie poczuli swoją władzę i związaną z nią odpowiedzialność. Przemawiający na wiecu w obronie Sądu Najwyższego Bartłomiej Starosta, działacz Iustitii i sędzia sześciuosobowego Sądu Rejonowego w Sulęcinie, mówiąc

Jak będzie przebiegał i czym się zakończy kryzys w Sądzie Najwyższym i całym wymiarze sprawiedliwości spowodowany politycznym skokiem PiS na trzecią władzę?

o odpowiedzialności sędziów sądzących wrażliwe dla władzy sprawy i o groźbach postępowań dyscyplinarnych za wyroki, pytał: „Kogo mamy się bać? Strony postępowania?!”

Bo przed sądem władza – reprezentowana przez urzędników czy prokuratora – to strona postępowania. I tyle. Tak działa zasada równowagi władz.

Sukcesem obywateli jest też skłonienie sędziów SN do oporu: ogłosili, że uznają prezes Małgorzatę Gersdorf za urzędującego nadal – do 2020 r. – Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego. 4 lipca przyszli uroczystie wprowadzić ją do sądu, w czym towarzyszyło im kilka tysięcy obywateli. To była scena, jakiej nie znają – na szczęście dla siebie – zachodnie demokracje. I która z pewnością przejdzie do historii.

Ten symboliczny opór symbolicznie wsparli dwa dni później przedstawiciele najważniejszych europejskich organizacji



Warszawa, 4 lipca 2018 r., protest przeciw niekonstytucyjnym zmianom w sądownictwie.

sędziów, których wybór (w 2010 r.) zakwestionował prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Albo – bo manipulowano składami. Albo – i to dotyczy wszystkich spraw od grudnia 2016 r. – ponieważ skład ustalała Julia Przyłębska, czyli osoba mianowana na prezesa TK z naruszeniem konstytucji i ustawy.

Teraz to samo grozi nam w Sądzie Najwyższym i sądach powszechnych, gdzie nominacje sędziów będą się odbywać z udziałem nowej Krajowej Rady Sądownictwa, wybranej z naruszeniem ustawy i konstytucji. A w Sądzie Najwyższym rządzić będzie osoba, która bezprawnie zajmie miejsce urzędującej prezes Gersdorf.

W państwie PiS przestała istnieć zagwarantowana konstytucją pewność prawa. A system wymiaru sprawiedliwości zorganizowano tak, by ułatwić polityczne sterowanie. To, czy takie sterowanie będzie skuteczne, zależy od sędziów. Od ich charakteru, sumienia i poczucia godności. Władza PiS zrobiła wiele, by postawić ich przed podobnym dylematem, przed jakim władze PRL postawiły sędziów w stanie wojennym: odejść z sądownictwa czy zostać i starać się omijać bezprawne prawo lub stosować je tak, by łagodzić jego skutki. Np. jak zaatakowany przez prorządowe media sędzia Józef Iwulski, który sądząc działaczy KPN, głosował za uniewinnieniem.

PiS postawił sędziów przed dylematem: trwać w nowym, upartyjnionym Sądzie Najwyższym, próbując wpływać na jego orzecznictwo, czy odejść – a więc oddać go walkowerem (czterech sędziów już odeszło, korzystając z „korupcyjnej propozycji” przejścia w stan spoczynku mimo nieukończenia 65 lat). Kolejny dylemat za chwilę przy naborze nowych sędziów do Sądu Najwyższego: zgłaszać się czy nie.

W minioną środę, wbrew oczekiwaniom, prezydent Andrzej Duda nie mianował na miejsce prezes Gersdorf swojego komisarza. Zgodził się, że jej obowiązki będzie na razie pełnił prezes Izby Pracy Józef Iwulski, wyznaczony przez prezes Gersdorf. Kancelaria Prezydenta „sprzedała” to opinii publicznej tak, by wyglądało, że to prezydent wyznaczył sędziego Iwulskiego jako najstarszego stażem. Oboje powołali się na ten sam przepis, choć na różne jego zdania. Pani prezes na fragment: „w czasie nieobecności Pierwszego Prezesa SN zastępuje go wyznaczony przez niego Prezes Sądu Najwyższego”. A prezydent na fragment: „w przypadku niemożności wyznaczenia [Pierwszego Prezesa zastępuje] Prezes Sądu Najwyższego najstarszy służbą na stanowisku sędziego”. Tak więc oboje, pan prezydent i pani prezes, wybrnęli z opresji kompromisowo.

Prezydent, nie wyznaczając komisarza, de facto złamał własną ustawę. Powód może być prozaiczny: nie znalazł chętnego wśród sędziów SN.

Prezes Gersdorf też ustąpiła. Mogła przecież dalej urzędować, wydając zarządzenia i podpisując decyzje. Przypieczętowałaby w ten sposób to, że nadal jest Pierwszą Prezes. A jednak wyznaczyła zastępcę i poszła na urlop. Potem nie wyklucza zwolnienia lekarskiego. Zeszła z linii strzału i w pewnym sensie rozbroiła obywatelskie protesty. Bo jak walczyć o panią prezes na urlopie? Ułatwiła też sytuację prezydentowi. I sędziom, i pracownikom SN, bo nie muszą się martwić, czy jej zarządzenia – także związane np. z finansami SN – zostaną potraktowane jako prawnie skuteczne, czy będą kwestionowane. Nie ma zarządzeń – nie ma problemu.

Kurz bitewny opadł. Jaka jest sytuacja w Sądzie Najwyższym? Zostało 58 sędziów z 73, którzy orzekali jeszcze tydzień temu. Na decyzję prezydenta czeka dziewięć sędziów, którzy poprosili go o zgodę na dalsze orzekanie. Do tego czasu nie orzekają.

Sędziowie, którzy ukończyli 65 lat i nie zwrócili się do prezydenta o tę zgodę, odeszli. Z wyjątkiem prezes Gersdorf, ►

związanych z wymiarem sprawiedliwości. Prezes Gersdorf odwiedzili sekretarz generalny Amnesty International Kumi Naidoo i dyrektorka AI na Europę Gauri van Gulik, a także prezydent Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa Kees Sterk oraz Maarten Feteris, przedstawiciel Europejskiej Sieci Prezesów Sądów Europejskich. Ta demonstracja solidarności pokazuje, że protest przeciwko przerwaniu kadencji Pierwszej Prezes SN nie jest jakimś ekscysem zbuntowanych sędziów – jak przedstawia to PiS, grożąc (ustami wiceministra sprawiedliwości Łukasza Piebiaka) odpowiedzialnością dyscyplinarną, ale aktem obrony demokratycznych standardów.

Ale te moralne, symboliczne, a także konkretne sukcesy społecznego oporu nie zmieniają dramatycznej prawdy: PiS stworzył w Polsce prawne bagno, w którym poruszanie się staje się coraz trudniejsze. Podobnie jak znalezienie bezpiecznych dróg wyjścia. Łamiąc konstytucję, PiS tak ukształtował prawo, że próby ratowania praworządności z zachowaniem jej reguł narażają na kolejne łamanie prawa i wikłanie się w sprzeczności. Stworzył świat, w którym wymusza się wątpliwe kompromisy, by państwo w ogóle mogło działać.

Laboratorium tej metody stanowił Trybunał Konstytucyjny, którego każde orzeczenie można dziś podważyć. Albo dlatego, że orzekał dubler sędziego, albo że orzekał któryś ze „starych”